SZTVKA

ZESZYT X. ROK 1913.



S. KAMOCKI ŁANY

SPRZEDAJĄCY ODWROTNE STRONY MEDALI.

Tłumaczy mi jakiś waryat, że „nieznajomy“ mówił prawdę i że Bernard nie był bynajmniej jego pierwszą i jedyną ofiarą; by się o tem przekonać należy pono tylko *umieć* czytać dzienniki. Niezawsze jednak następuje tak tragiczne rozwiązanie, jak w wypadku tego biednego przemysłowca; niekiedy kończy się wszystko poprostu na pewnej niedyspozycyi lub jednonocnej bezsenności.

— — — — — — — — — — — — — — — — — — — —

I.

Ulicę Rivoli z powodu reparacyi bruku zamknięto. W miejscu zwykle tak ożywionem, w którem ta najdłuższa w Paryżu ulica wychodzi na plac Châtelet, ruch wszelki ustał. Znalazłem się tam pod wieczór, obiegłszy już pół miasta w interesach firmy. Plac ten był punktem skrajnym moich handlowych ekspedycyi; leży on na rozgraniczu dwóch światów — dalej w prawo rozpoczyna się miasto zupełnie dla mnie nieznane: natłok brudnych, starych i smutnych domków, wąskie źle oświetlone uliczki, katedra, brak sklepów, dalej wyspa świętego Ludwika. Byłem tam w życiu raz czy dwa zaledwie i pozostały mi wspomnienia jak o czemś mętnem i niedającem się łatwo wyrazić.
Wzdłuż zagradzającej ulicę baryery porozstawiały swe kramiki jakieś różne podejrzane indywidua, których się normalnie na ulicach Paryża nie widuje. Nie wiedzieć dlaczego porównałem ich do owych tajemniczych zielsk, rosnących na dnie rzek; nadają one podobno barwę przelotnym falom i rzadko w wielkie letnie żary wyłaniają się z nich na światło dzienne.
W zgiełku jakiś siwobrody starzec zachęcał otoczenie do kupowania nieomylnych horoskopów przyszłości, obok produkował się atleta, rozbijając z dzikimi porykiwaniami gołą pięścią kamienie, dalej poważny dżen-

telmen z oślą czapką na głowie zachwalał arcypraktyczne haczyki do bucików; przy sąsiednim kramiku zasypiała w katalepsyi wróżka z oczyma czarną chustką przewiązanymi, towarzysz jej zbierał gęsto sypiące się sousy, mierząc temperaturę serc zakochanych par przy pomocy rurek i kulek szklanych, napełnionych różnokolorowymi płynami.
W gwarze stał spokojnie za swym stołem człowiek w robotniczych aksamitnych szarawarach i sprzedawał okrągłe ręcznie malowane tace: przedstawiały one widoki Paryża jak również i martwą naturę w ten niemal sposób jak się te rzeczy widzi... a może i trochę inaczej nad stołem widniał rozwieszony napis:

MARCHAND DE REVERS DE MEDAILLES.

Nie miał w sobie ten odmiennego gatunku hecarz nic z natarczywości przekupnia, czekał biernie, aż się ktoś doń zbliży; wzrokiem jedynie usilnie zachęcał; wszyscy go mijali, nie spoglądając nawet w jego stronę. Wtem do kramu podszedł pan — tu odegrała się scena, której napewno nie przypisałbym większego znaczenia, gdyby nie nasuwające się korrelacye z późniejszymi wypadkami, o które się otarłem; z resztą podobnie innym nie zwróciłbym pewnie również żadnej uwagi i na samego przekupnia — pan acz w garniturze nieco wyszarzałym robił wrażenie bogatego przemysłowca; oczywiście był to człowiek z naszej dzielnicy; pan, przechodząc spojrzał na malowane tace poczem niedbale zagadnął sprzedawcę. Nie dosłyszałem treści ich rozmowy; po chwili jednak przekupień spakował swój towar i obydwaj odeszli w kierunku katedry Notre Dame, ku nieznanemu mi miastu, przyczem pan wykazał pewne niezrozumiałe dla mnie i nie licujące z jego powagą oszołomienie, pozostawił bowiem przy kramie swój parasol i opuścił wypchaną tekę na samym środku placu. Stójkowy, podniósłszy zgubione a pożyteczne przecież przedmioty, pobiegł za nim; pan odepchnął go brutalnie, tak że doszło nawet między nimi do kłótliwej sceny.

II.

O konwencyonalnej jednostronności policyi i władz śledczych Paryża chciano mnie przekonać ubiegłej wiosny. W pierwszych dniach

kwietnia wbrew zwyczajowi wyszedłem z domu bardzo wcześnie; była może godzina szósta, ruch na ulicach jeszcze bardzo słaby, a biuro firmy, w której pracuję miało się roztworzyć dopiero za trzy godziny. Ten szczegół skłonił mnie do zajścia po drodze do skweru giełdy; siadłem na ławce; ziemia była wilgotna od rannego polewania a kasztany całe osypane różowym kwiatem. W skulonym obok mnie nad wielką rozłożoną gazetą jegomościu ze żdziwieniem poznałem pana Roberta. Był to rzeźbiarz, podobno dość marny, którego kiedyś spotkałem na dziwnie oryginalnym literackim zebraniu w zatęchłym salonie starej mecenaski mieszkającej, het, po drugiej stronie Sekwany w bardzo staroświeckiej i nieznanej mi dzielnicy. Przyjmowała ta kobieta obok błyszczących sławą akademików również i takich śmiesznych dziwolągów, będącym właściwym sztafażem zamszałego mieszkania i otoczenia*). Rzeźbiarz podniósł głowę nakrytą wytartym melonem i obramowaną brudnawą siwiejącą brodą.

— Ach młodzieńcze, młodzieńcze — mruknął mi poufale, poznawszy mnie — jakżeż tam? — doszeplenił, rzuciwszy mi spojrzenie bez wyrazu.

Uśmiechnąłem się, mignęły mi wspomnienia jego rozmów i dyskusyj.

— Pan tu w tej znienawidzonej przezeń dzielnicy? — spytałem.

— A tak w rzeczy samej quartier nieznośne, od lat dwudziestu tu nie zachodziłem i gdyby nie passyonujące zdarzenie, ta quasi zbrodnia, możebym umarł, nie przeszedłszy granic wyspy Świętego Ludwika. Ach pan zdaje się handlowiec? — dodał po chwili.

— Tak jest.

— W takim razie ciekaw jestem jakie jest zdanie pańskie o aferze Bernarda?

— Od kilku dni nie czytałem gazet — odparłem — zresztą niedbałość ta sprzeciwia się moim zwyczajom, o ile jednak pamiętam — dodałem, pragnąc go uszczypnąć ironicznie — pan zaklinał się, że nigdy owych aktualnych szpargałów do rąk nie bierze?

— Niestety romantyczna ta i dziwna śmierć mająca miejsce w tej właśnie handlowej dzielnicy i komentowana w ten głupi i ordynarny sposób

*) Wprowadzony przez moją pryncypałową (druga nagroda na konkursie poetyckim Odeonu) byłem tam jedynie, by być dobrze przez nią widzianym.

zmusza mnie do owej przykrej niekonsekwencyi. Widzi pan — dodał, wskazując wielki szary dwupiętrowy gmach — w tym oto domu zdarzyło się przedwczoraj to co powszechnie nazywają zbrodnią — tu rzeźbiarz zachichotał ironicznie, podmrugując okiem — niech pan spojrzy na ten samochód, który tam hałasuje przed bramą: dziś właśnie odbyło się zejście władz śledczych. Co do mnie spodziewam się po tej wizycie jakiegoś „coup d'état".

W tejże chwili, pchnięta od wewnątrz roztworzyła się raptownie brama jakiś człowiek wyskoczył i uchylił pospiesznie drzwiczki samochodu, tuż za nim biegło dwuch panów i ciągnęło pod ręce z wysiłkiem wrzeszczącą i rzucającą się w straszny sposób kobietę; była ona od stóp do głów zasłonięta czarnymi żałobnymi woalami. Kobietę gwałtownie wepchnięto do samochodu, który natychmiast odjechał, biorąc z miejsca największą szybkość.

Rzeźbiarz skoczył.

— Widzi pan... biorą ją, wzięli, wiozą do więzienia Świętego Łazarza. „Niewinna! Niewinna!" huknął, gdy samochód okrążywszy skwer, mijał naszą ławkę.

— Opowiem panu jak jest w kilku słowach — mówił ochłonąwszy. — Ta kobieta, którą zaaresztowali jest to pani Bernard, żona przemysłowca, którego przedwczoraj znaleziono martwego w swej sypialni. Widocznym powodem śmierci było zaczadzenie; kauczukowa rurka, prowadząca do gazowego piecyka wisiała oderwana, a ulatniający się gaz rozszedł się po pokoju. Pierwsza hypoteza — wypadek! Powołany do zbadania sprawy ekspert orzekł, że oderwanie rurki mogło być jedynie li tylko ręką ludzką wywołane, i — niechże sobie pan wyobrazi — przypuszczenie samobójstwa sędzia śledczy absolutnie usunął, motywując to tym — zresztą przeczytam panu odnośny ustęp:

> Zmarły p. Bernard nie miał żadnych kłopotów finansowych, przeciwnie interesy jego coraz lepiej się rozwijały, miał on bowiem w najbliższej perspektywie interes mogący o kilkakroć pomnożyć jego majątek. Przez cały dzień wczorajszy sędzia przesłuchiwał świadków, są to przeważnie uczestnicy zebrania, które wydał u siebie p. Bernard w przeddzień katastrofy, dla uczczenia swych urodzin i jubileuszu swej pracy w dyrekcji przemysłowego towarzystwa „Labor". Szczegół

wzruszający: pan Bernard odsłonił na zebraniu po raz pierwszy znajomym swój portret olejnie malowany i obstalowany specyalnie przez nieboszczyka dla uświetnienia tego pamiętnego dlań dnia. Według świadków samobójstwa niema i być nie może. Wszystkie zeznania są zbieżne co do jednego punktu: w życiu prywatnym czy publicznym Bernarda nic ostatnimi czasy nie zaszło. Oświadczenie to w oczach sędziego i naszych ma znaczenie decydujące).

— Ha, ha, ciekawym dlaczego? zaśmiał się rzeźbiarz; — no jakże się to panu podoba — dodał, ujmując mnie silnie za rękę.

Byłem zakłopotany.

— To jest właściwie... nie widzę, nie rozumiem odparłem.

— Ano tak, ano tak — uśmiechnął się Robert z wyrazem politowania — wnioskuję stąd, że podziela pan zdanie profesora Maurice, który z kåtedr Sorbony utrzymywał, że Francya odparła się istotniejszemu romantyzmowi, stojąc zawsze na gruncie pozytywnym. A zatym — dodał — przypuszcza pan, że życiem ludzkim nic nie kieruje po za tymi policyjnie namacalnymi, zewnętrznymi faktami, których się śledztwo oczywiście nie dopatrzyło w życiu czcigodnego Bernarda? — — —

Rzeźbiarz wstał i żegnając się klepał pośpiesznie:

— Ma się rozumieć, ostatnia, zdaniem tych panów jedyna hypoteza, to zbrodnia.

Kto zabił? nie służąca: poczciwa ta kreatura tego właśnie wieczora miała wychodne i spędziła noc u krewnych. Zatym żona? i znowu zaczęto szukać klasycznych i utartych podstaw do oskarzenia: spała w pokoju sąsiednim, nic nie zauważywszy, o 15 lat młodsza, ładna, bezdzietna, miała kochanka, wreszcie powod najważniejszy, a dla mnie poprostu śmieszny, znaleziono w ręku pani Bernard testament, w którym nieboszczyk jej zapisuje cały swój z górą trzymilionowy majątek. I cóż to dowodzi? jak pan widzi wszędzie na każdym kroku ograniczona banalność.

Opuściliśmy skwer.

— Adieu panu, bardzom rad ze spotkania — pochylił się ku mnie tajemniczo i, plusnąwszy się dłonią w czoło wyszeptał — ja tu już coś mam, coś czuję, wiele już się domyślam: czuję, że źródło tej sprawy l e ż y w m o i m s ą s i e d z t w i e. Może pan zajdzie jutro,

zobaczy pan pracownię, mieszkam na wyspie Świętego Ludwika, na wybrzeżu Orleańskim — zapisał swój adres na skrawku gazety — pomówimy o tym ciekawym wypadku — krzyknął, wskakując do przejeżdżającego omnibusu.

Mimo całą elokwencyę Roberta przyznam, że wszystkie te wywody niezbyt mnie przekonały. Udałem się do biura, gdzie czekała mnie zwykła codzienna i porządna praca.

III.

Nazajutrz wypadła Niedziela. Po odrobieniu zastenografowanej korespondencyi nie wiedziałem co z sobą robić. Z nudów powlokłem się do rzeźbiarza. Był dzień szary i dżdżysty. Z wielkiego okna pracowni pana Roberta widać było wąskie ramię leniwie w pudle płynącej Sekwany, a trochę dalej na skraju wyspy wznosiły się ku smutnemu niebu dwie masywne, przysadziste wieże katedry Notre Dame.

— Niech pan siądzie — rzekł uprzejmie rzeźbiarz — mam kilka nowinek, nie próżnowałem przez dzień wczorajszy; byłem w mieszkaniu służącej Bernarda i zinterwiewowałem ją.

— Ależ to przecie już zrobił sędzia śledczy — odparłem — i pozwalam sobie mniemać, że uczynił to od szanownego pana dokładniej.

— W istocie nie dowiedziałem się od niej nic nowego; te same jednak fakty, które poznałem z ust owej prostej dziewczyny nabrały dla mnie zgoła innego znaczenia, niż w nieintuicyjnej i każącej interpretacyi dziennikarstwa. Ale oto moje notatki — poczym, wyjąwszy z kieszeni kilka zapisanych kartek zaczął odczytywać w skupieniu:

> Scena w gabinecie Bernarda podsłuchana przez służącą. Jakiś urzędnik przyniósł Bernardowi plikę dokumentów. Nieszczęsny przed odejściem miał nieopatrzność zadać to niestosowne zapytanie: „Dyrektorze skąd te papiery i jakie ich przeznaczenie?“ Na to Bernard wpadł w straszną złość: „Widzicie go! potrzebna mu ta wiadomość“ — krzyczał — „Haruj waćpan, przepisuj noc i dzień swe szpargały, ale nie pytaj skąd? poco? i dokąd? bo za drzwi na bruk wyrzucę!“ Po chwili dodał lękliwie i jakby z poczuciem własnej tym razem winy: „nawet mnie nie wolno się zagapiać ot tak, bez potrzeby i zysku“.

Robert czytał dalej:

Na kilka dni przed katastrofą Bernard starannie zasmarowywał pokostem całe tło swego portretu. Na zapytanie służącej: „co pan czyni?“ odpowiedział: „nie chcę o sobie więcej wiedzieć niż Ty o mnie wiesz Maryo“.

— Czy przez ciekawość przerzucił pan gazety dni ostatnich? — spytał Robert odkładając na chwilę notatki.

— Owszem.

— Czy nie zwrócił pan uwagi na opowieść pewnej awanturki familijnej? — indagował sucho rzeźbiarz.

— Tak, tak, pamiętam doskonale.

— I jakże pan ten szczegół komentuje?

— Zdaniem moim pan Bernard, jak przystało, traktował niekiedy swą małżonkę ze słuszną surowością; dla pani Bernard był to jeden pretekst więcej do popełnienia jej występnego czynu.

— Podziela pan zdanie ogółu, co zresztą jest zupełnie naturalne. Powróćmy jednak do moich notatek.

W dzień zebrania świątecznego Bernard wraca do domu, spóźniając się na śniadanie, co się dotąd nigdy nie zdarzyło; jest dziwnie wzburzony. Żonę przyjmującą go wymówkami chwyta w ramiona, całując ją w usta dwukrotnie ze wściekłą namiętnością (co jak przypuszcza służąca nie miało miejsca od lat wielu) przyczem ukąsił ją w wargę. Państwo siadają do stołu, pani z plasterkiem angielskim na ustach. „Maryo roztworzyć okna!“ krzyczy pan domu do służącej poroztwierać wszystkie okna! powietrza do licha!“ „Zwaryował, zwaryował“ protestuje piskliwa pani „zapominasz zdaje się, że mam katar? „Idyotka“ irytuje się pan „co mnie twój katar może obchodzić?“ Okna roztwarto, poczym nastąpiła chwilowa cisza. „Ach pachnie, pachnie“ szepnął pan domu, chyląc się w tył na krześle. A że akurat wnoszono dymiący półmisek, pani się rozchmurza i z miłym uśmiechem: „nieprawdaż też starałam się dziś bardzo“. „Głupia“ — odpowiedział na to pan domu, rzucając serwetkę — „wiosna pachnie“ dodał, wychodząc. Przez okna zaglądały, wchodząc niemal do pokoju, gałęzie rozkwitłego kasztanu.

— Wie pan, co zrobił Bernard po tej awanturze? — spytał rzeźbiarz, przerywając czytanie.

— Wzruszyłem ramionami. Robert wziął mnie pod rękę i pociągnął ku oknu.

— Widzi pan prawą wieżę katedry? — zapytał — otóż na wierzchołku tego tumu przesiedziałem kwadrans z Bernardem, który tu się schronił po wspomnianej familijnej scenie.
Facecya ta ubawiła mnie serdecznie.
— Hahaha — odparłem, dusząc się od śmiechu — więc pan przypuszcza, że uwierzyłbym temu żartowi. Hahaha, Bernard na szczycie wieży Notre Dame! — Ależ panie, ja tego człowieka znam ze słyszenia, członek takich przedsiębiorstw jak „Labor" i „Progres" — — jestem przekonany, że nigdy stopa jego nie stanęła w tej dzielnicy.
Rzeźbiarz jednak stał się kategoryczny, wziął jedno z pism rannych, w którym była opublikowana fotografia Bernarda i oświadczył w sposób niedopuszczający wątpliwości, że nie zmyliły go żadne podobieństwa. Zamyśliłem się.
— Ah, zatym pan przypuszcza chęć samobójstwa? skok z wysokości? spytałem.
— Kretyn — — wycedził rzeźbiarz obojętnie. — Pan handlowiec? wyrzekł po chwili zastanowienia. — Rozumie pan, co znaczy dla przemysłowca chęć drapania się na tę prastarą, odwieczną wieżę, źle mówię, chęć wskoczenia, wzbicia się na tę wieżę — bąknął jeszcze kilka niezrozumiałych słów — — — nagle za ścianą rozległ się dziwny śpiew przy akompaniamencie nieznanego mi instrumentu.
— To *on!* — krzyknął rzeźbiarz, podnosząc się z wyrazem wielkiej błogości.
— Kto?
— Zbrodniarz — szepnął bezdźwięcznie.
Byłem wstrząśnięty i zdziwiony, gdyż przecie Robert suponował zdaje się samobójstwo. — Rzeźbiarz już przylgnął uchem do przepierzenia i syknięciem przerwał moje zapytania.
Gdy się Robert wyprostował był zmieniony i zdawał się mnie nie zauważać; poczułem się zbyteczny i wyślizgnąłem pospiesznie; on jednak somnambulicznym, roztargnionym ruchem narzuciwszy palto, wyszedł za mną. Szliśmy wzdłuż niskiego kamiennego parapetu, nad samym brzegiem Sekwany. Rzeźbiarz nic nie mówił i zdawał się wchłaniać w siebie otoczenie. Za nami zachodziło słońce; mgławe, zadymione niebo czerwieniło się. Mimo niedzieli było ogromnie cicho i prowincyonalnie.

Miejscami parapet się przerywał i całe wybrzeże powolnie opuszczało się ku wodzie, tworząc piaszczystą plażę, na której bawiły się dość apatycznie mizerne dzieciaki; gdzieniegdzie siedział nieruchomy staruszek z wędką, dalej znów konisko z powycieranymi bokami, bez uprzeży stało bezmyślnie, po kolana zanurzone w wodzie. Rzeźbiarz uśmiechnął się.
— Porównać to do wielkich magazynów albo do galowego przedstawienia w operze — zaczął. Pośpieszyłem z zapytaniem:
— Któż *on* jest?
— Stały mieszkaniec wyspy Świętego Ludwika — odparł Robert. Dlatego tu mieszkam — dodał po chwili z głębią przekonania. Tymczasem doszliśmy do mostu, który miał nas przerzucić z wyspy świętego Ludwika w inne, coraz to nowe dzielnice; Robertem wstrząsnął jakby dreszcz zgrozy, słyszałem jak szepnął: „Biedny Bernard". Poczym dodał po chwili.
— Czy pan wie, że to *on* malował portret Bernarda??
Zanurzyliśmy się w zupełnie inne miasto. Wciąż idąc wybrzeżem, doszliśmy do wielkiego placu Zgody, na któren z czterech stron wtaczały się ze zgiełkliwym pośpiechem setki samochodów, tworząc koło środka niemożliwą do przebrnięcia gmatwaninę. Robert też się zatrzymał. Noc zapadła. W lewo na ciemnym niebie zarysowała się ostra strzała wieży Eiffla. W głębi w ulicy Królewskiej widać było czerwoną, szczupłą sylwetkę obciśle ubranego grooma od Maxima, którego dziwaczne podskoki odcinały się od ruchliwego tła migocącej światłami ulicy. Za nami wznosiła się izba deputowanych. Rzeźbiarz widać poznał, że zaszedł za daleko, nie pożegnawszy mnie zawrócił się, a ja utonąłem we wrzawie samochodów i pojazdów. Gdym się obejrzał, spostrzegłem, że Robert biegł, uciekał w stronę wyspy Świętego Ludwika.

IV.

Tymczasem sprawa pani Bernard z dnia na dzień się pogarszała. Jak to doniosły pisma, sędzia śledczy nie wątpił już o jej winie; opinia publiczna zgadzała się z zapatrywaniami sędziego i można było być z góry pewnym wyroku izby kryminalnej.

Gdy zapukałem do drzwi rzeźbiarza, otworzył mi natychmiast, był tajemniczy — — szeptem wypowiedział coś, czego nie mogłem zrozumieć. Pracownia była nieoświetlona; przez wielkie okna wpływało do ciemnej sali liche światło dość gwiaździstego tego wieczora nieba. Spostrzegłem, że Robert p r o m i e n i a ł.

— Zdołałem *go* tu zwabić! rzekł głośno. Kogo?... oczywiście zbrodniarza — przemknęło mi przez myśl i poczułem pewien niepokój. W półmroku rozeznałem nieznajomego, siedział sobie bardzo zwykle i oddawał się jakiejś czynności powszedniej, zdaje się, że poprostu zwijał papierosa. Po chwili kłopotliwego milczenia, wywołanego moim, zrozumiałym zresztą zmieszaniem, zbrodniarz najnaturalniejszym głosem zagadnął mnie jakąś formułą grzecznościową. Acz nieznajomy wydał mi się w obcowaniu (ze mną przynajmniej) nieuchwytny i wykrętny, spróbowałem jednak nadać rozmowie charakter bardziej osobisty.

— Pan maluje? spytałem, i gdy nieznajomy nie śpieszył się z odpowiedzią zacząłem wprost zaczepnie:

— Jak się pan odnosi do sprawy Bernarda?

— Odnosić się? odparł ze zdziwieniem — ależ, drogi panie, ja się wcale do tej sprawy nie odnoszę. Nie odnoszę się wogóle do niczego — dodał.

— Do niczego — podchwycił rzeźbiarz, śledzący każde jego słowo — jednak przecież musi pan coś robić w Paryżu?

— Niemam żadnego fachu — tłumaczył uprzejmie nieznajomy — ot chwilowo trudnię się kolporterstwem, korzystając z przerwanego gdzieniegdzie ruchu ulicznego.

Wtedy nagle przeszyło mnie wspomnienie z placu Châtelet; w mgnieniu oka porwałem się z miejsca; pewny byłem teraz, że mam przed sobą jakiegoś wielkiego złoczyńcę. Choć nie czułem zbyt pewnego gruntu pod nogami, choć zdawałem sobie sprawę, że wstępuję na teren zupełnie mi nieznany, stanąłem gotów do podania pomocnej ręki sprawiedliwości.

— Panie — rzekłem — widziałem waszmościa z Bernardem w pamiętny dzień przy zagrodzonej ulicy Rivoli. Żądam wyjaśnień, w przeciwnym razie, zamknąwszy pana na klucz w tym pokoju, biegnę do najbliższego komisaryatu zawiadomić władze.

— Nic dziwnego, że mnie pan widział — odparł zbrodniarz łagodnie — nie

ukrywam się bowiem i chodzę wszędzie; przypisać należy prostocie mego stroju, zaparawanowej dyskrecyi w obejściu i zresztą nieużyteczności mych usług fakt, że mnie czasem ludzie nie zauważają, nawet, gdy im następuję na nagniotki. Co do wyjaśnień, to posłuchajcie panowie małej konferencyi. Zresztą jeżeli mówię, to ot tak sobie... dla tychże racyi, dla których wschodzi tęcza na niebie; komisarz bowiem jest mi równie blizki, jak i najmizerniejszy sutener na planecie Marsa . . .
. . . . Panowie, każden przedmiot, każda istota, każden przejaw ma swą odwrotną stronę. Paryż również ma swą odwrotną stronę, a nie są nią bynajmniej apasze i fałszerze monet, to, co wy nazywacie popularnie dnem, czy brzydszą stroną. Odwrotną stroną ministeryum nie są łapówki, czy knute a pod korcem skrywane zdrady stanu. Odwrotną stroną pałaców nie sa królobójstwa. Odwrotną stroną kochającej i wiernej żony nie są jej wycieczki do domów schadzek. Panowie, to wszystko dla tych jedynie, którzy nie widzą, ma głębię tajemnicy i sensacyjnego odkrycia, dla tych, którzy widzą, są to rzeczy jaknajbardziej zewnętrzne i rzucające się w oczy...
. . . .
Panowie, odwrotna strona wszystkich rzeczy jest zawsze jedna i ta sama.
— Czy to nie to, co nazywają duchem Bożym? zahazardował pytanie rzeźbiarz.
— Proszę milczeć — odparł nieznajomy grzecznie ale stanowczo — nie powiem wam żadnej nazwy, bo jej niema, nielogicznie bowiem byłoby słowem określać to, co słowem kieruje . . . .
. . . . Powiedziałem, że jest ONA jedna zarówno w mrówce, jak i w śmierci drzewka, co usycha; w liszce, która się ma stać motylem; na morzu; w żarach pustyni Sacharyjskiej, czy w śniegach Syberyi; w fabryce igieł, czy gilz do papierosów; w karbolowych wyziewach sali szpitalnej, czy w swędzie kuchni restauracyjnej; w gwarze jarmarków, czy wojen; w orgjach gabinetowych; w arce Noego — — — W gwiazdach, panowie, (tu podszedł do roztwartego okna; czarne otchłanne niebo było skropione milionami świateł) — tam też to samo — wyrzekł poważnie, wychylając się i zataczając dłonią wielki krąg... Już jeden pisarz powiedział, iż, być może, te miliony słońc wraz

z miliardami innych, których nie widzimy, tworzą wspólnie jedynie ciałko krwi lub limfy stworzenia, czy mikroskopicznego owada, wylęgłego na świecie, którego wielkość przekracza zakres naszego pojmowania — —
... To samo — powtórzył, patrząc w gwiazdy — — trzeba się tylko umieć wpatrzyć i wsłuchać; jesteśmy jak ów dąb sturamienny i milionolistny, z jednego wybujały żołędzia. Tak, panowie, odwrotna strona wszystkich rzeczy jest jedna.

Wobec tej przemowy, której związek ze śmiercią Bernarda nie wydawał mi się oczywisty, zachowałem właściwą obojętność. Na rzeźbiarza jednak te słowa zrobiły znaczne wrażenie.

— Panie, jeżeli wiesz — zwrócił się głosem proszącym do nieznajomego — ty, który jesteś jak natchnienie, jak przenajświętsza łaska Ducha Świętego, objawieniem będąca dla nas, trzody owiec bezmyślnych i śmiertelnych, jeżeli znasz jaką formułkę, czy zaklęcie, to mi je wyjaw... Panie, ja przecież żyć nie mogę bez NIEJ — — bez tego — — daleko od..." tu ze wzruszeniem zaczął bełkotać... Jeżeli jest ONA wszędzie, to naucz mi JĄ wszędzie odgadywać. Czyż nie widzicie, że unikam wszelkich skomplikowanych wrażeń i że myśl o kobietach mnie zatrważa; muszę się ukrywać w zaciszu tej pustelni, jaką jest wyspa Świętego Ludwika i gdy tylko się od niej oddalam, to tak, jak bym z radosnego słońca w cień schodził. Kilka dni temu odprowadziłem tego młodego człowieka, który jest handlowcem, aż do placu Zgody, ależ ja się tam zupełnie zgubiłem! Gdy wyjdę za katedrę Notre Dame, ku temu, co nazywają życiem paryskim, mam wrażenie, że wstępuję w jakiś nierozwikłany gąszcz, w którym mi nogi się wplątują. Pan mówi, że jest w tym labiryncie serce, zechciej mi zatym wskazać nić, która doń prowadzi".

— Panie, toż to odemnie nie zależy.

— Jakże? przecież jest pan handlarzem, czy rozdawcą...?

— Ależ, czy pan sądzi, że odemnie by zależało namówić go do kupna, czy przyjęcia mego towaru, w chwili, gdy się pan zabłąkał na placu Zgody?

— Panie, ja cię tam szukałem, wzywałem...

— Haha, dobrodzieju, nie zwróciłbyś na mnie wtedy żadnej uwagi, nie dostrzegłbyś mnie nawet w tłumie przechodniów. Słusznie pan czyni,

ukrywając się na wyspie Świętego Ludwika... Panowie, posłuchajcie końca konferencyi:

......Uciekajcie w głąb odludnych pustyń, wy o tępym uchu i oku, którzy JEJ nie widzicie w gwarze wielkich bulwarów. Albowiem, jeżeli jest ONA wszędzie, to jednak są miejsca, gdzie łatwiej ją dosłyszeć, tak, jak łatwiej jest się dosłuchać bicia serca poprzez parciane koszulisko zdyszanego rują parobczaka, niż poprzez drogie sobole cherlawego mieszczucha. (Zbrodniarz mówił jedynie do Roberta, na mnie nie zwracał żadnej uwagi). Zamiast upijać się faszowanym Bordo — mówił dalej, — idźcie do lasu i, uklęknąwszy w wilgotnej ziemi, pijcie wprost ze świętego i żywego źródła. Zamiast iść do zakładu kąpielowego, biegnijcie het daleko za miasto nad Sekwanę i miast w cynkową wannę, skaczcie w żwawe i rzeźkie fale.

— Dalej, do rzeczy — krzyknąłem — proszę mówić o śmierci Bernarda.

— Panowie, jeszcze jedno słowo — poprosił nieznajomy — nie należy wiedzieć o swej odwrotnej stronie! Nie należy wiedzieć o tym, co nami kieruje, albowiem zakłócona będzie równowaga naszych czynów doczesnych. Gdyby kula ziemska sobie uświadomiła, jakim w swym biegu jest posłuszna elipsom, mogłaby zechcieć zejść ze swej drogi (z czegoby wypłynął snadnie karambol ciał niebieskich) lub conajmniej się zatrzymać w objektywnej i niezależnej kontemplacyi systemów planetowych, co znowu wywołałoby wieczną noc i zimę na jednych półkulach, a wieczne lato i dzień na innych. Nie sprzeciwiając się zresztą prawom natury, byłoby to przyczyną pewnych przykrości dla istot zbyt w ową doczesność wpatrzonych. Panowie! Ludzie dbający o ład społeczny nienawidzą wszystkiego, co rozbijając skorupę świata, odkrywa niezmienny sens powierzchownych uzewnętrznień. Francuzi, najchytrzejszy naród pod słońcem, znaleźli broń przeciwko tym katastrofom: stworzyli oni ministeryum sztuki. Obok „Nowej Kaledonji“, sekwestrującej niebezpiecznych osobników, mają oni „Nową Kaledonię“ sekwestrującą sztukę, mają oni nacyonalne konserwatoryum i muzea, w których, wystawiane na pośmiewisko ludzkie, wiszą arcytwory bezsilne i blade, martwe, jak trupy w mordze. A jeżeli, mimo wszelkie ostrożności, czasem, przypadkiem, przy przerwanym ruchu ulicznym, jakiś ognik podziemny wybłyśnie,

psując coś ze społecznego ładu, to się zręcznie maskuje wydarzenie, tłumacząc je w sposób płytki, inscenizując na poczekaniu jakąś płaską historyjkę — — —

Tu zbrodniarz skłonił mi się, tak jakby ostatnie te słowa pod moim były wygłoszone adresem.

V.

Ominąłem temat, by tym łacniej potym doń trafić — mówił dalej nieznajomy i zaczął opowiadać.

— Dwa tygodnie temu, przy przerwanym ruchu na ulicy Rivoli, wpadł na mnie przypadkiem bogaty przemysłowiec i, zrozumiawszy, że jestem malarzem, zaproponował mi za drobną cenę (był bowiem bardzo oszczędny) namalowanie swego portretu. Ubiwszy targ momentalnie, udaliśmy się do mnie na pierwszy seans. W drodze dowiedziałem się, że portret ten miał uświetnić uroczystość familijną i jubileuszową. Po tygodniu portret był gotów i przemysłowiec zabrał go z sobą do domu.

— I ten portret?? — spytał rzeźbiarz z przejęciem — wszak czuję, że ma on tu jakieś znaczenie.

— Oto szkice doń — rzekł zbrodniarz, podając Robertowi kilka kartonów; widniał na nich oczywiście Bernard, w różnych pozach, odpowiadających jego stanowi i zajęciu. Gdy się bliżej tym rysunkom przyjrzałem, odkryłem jeden szczegół dziwaczny; od wszystkich punktów osoby Bernarda, od kolan, nosu, uszu, serca odchodziły cieniutkie, ledwie dostrzegalne linijki i przeplątując się w różnorodnych skrętach, szły gdzieś za skraj kartonu. Szkice te przypominały plansze atlasów anatomicznych, tylko linij było znacznie więcej, a nazwy ich filigranem spisane były dla dla mego wzroku całkiem nieodczytalne.

Robert przeglądnął rysunki z wyrazem zatrwożenia i politowania.

— Może pan i listy przejrzy? — rzekł zbrodniarz uprzejmie — oto te, które pisał do mnie Bernard w ostatnim tygodniu — przyczym wysypał na stół paczkę niebieskich papierków; były to tak zwane kartki pneumatyczne.

Rzeźbiarz zaczął je kolejno odczytywać:

12 marca.

Panie malarzu, podobieństwo nieźle uchwycone, nie dam panu jednak ani grosza, zanim nie poczynione będą pewne poprawki. *Bernard.*

13 marca.

Tak, zdaje mi się, że mistrz sobie ze mnie zakpił: niby to moje rysy, a jednak chwilami zupełnie siebie nie poznaję. Trzeba w tym portrecie c o ś zmienić.

13 marca, wieczorem.

Drogi Mistrzu! Choć zdrów jestem jak nigdy, było mi cały dzień niedobrze. Zwracam się poprostu do pana o pomoc. Przypuszczałem przez chwilę, że pan używa kiepskich i trujących farb i, że to jest przyczyną mego odurzenia, gdy patrzę na portret. Niestety jednak konstatuję, że przyczyny są zgoła inne i osobliwe. Proszę zaradź pan złemu. Gdy idę ulicą, czuję, że wlokę za sobą jakby ogromną sieć pajęczą, której nitki wszystkiego się czepiają. Nie! jestem raczej jak s e r c e m o n s t r a n c j i! Ćwierć wieku jak chodzę co rano do mego kantoru; chodzę zawsze tą samą drogą i nigdy nic mnie na niej nie zastanowiło. Dziś zewsząd ze wszystkich kątów, które mijałem obojętnie (tak jak wogóle wszyscy normalni i zrównoważeni przechodnie) wytryskują ku mnie n i e s p o d z i a n e b ł y s k a w i c e. Na każdym kroku znajduję powód do wzruszenia. Zewsząd wyciągają się ku mnie jakieś rozwarte ramiona i brzęczą mi w uszach okrzyki: „my dawni! my znajomi! pamiętasz? — znasz?“...
Stanąłem przejęty przed stosem jabłek na wystawie owocarza, przed wózkiem kwiaciarki — — — taki byłem przez dzień cały roztargniony, żem nawet nie zajrzał do pilnego a lukratywnego projektu zainicyowanego przezemnie w towarzystwie „Progres“.

14 marca.

Zaczyna to być nieznośne. Dzięki pańskiemu niestosownemu figlowi, ja nie mogę korzystać z tak szybkiej i taniej komunikacyi, jaką jest kolej podziemna, a przecież nie sposób zawsze wyjeżdżać automobilem. Gdym zeszedł w to kretowisko, zapomniałem po raz pierwszy o trzech — znanych zapewne panu zasadach: I. Trzymaj jedną ręką bilet byś go nie zgubił w tłoku. II. Drugą ręką przyciskaj do łona pugilares by cię w ścisku nie okradli. III. Patrz uważnie na migające za oknami napisy przystanków, byś nie przeoczył celu swej podróży.
Niewiem dobrze co się ze mną działo, przypuszczam, że powtórzyło się wczorajsze obłąkanie. Wiem, że jak zwykle pociąg co chwila się zatrzymywał na

kilka sekund, wwalały się doń pospiesznie setki pasażerów, wysypywały się zgiełkliwie mrowia ludzi na peron. Koło mnie twarze, kapelusze, krawaty, zmieniały się co oka mgnienie. Jak zwykle rozpędzony pociąg z łoskotem żelaztwa roztrząsał nas na zwrotnicach. Czemu jednak ja tak przeraźliwie dużo słyszałem i widziałem opływał mnie skądciś jednostajny szmer. Niewiem czym spał, czym fruwał, lub tonął. Gdym się ocknął, pociąg stał za rogatkami i zauważyłem brak pugilaresu.

Robert po odczytaniu tego listu aż klasnął w ręce z radości:

— Ależ to był geniusz! krzyknął. — Widocznym się staje, że posiadał on sekret, któregom ja napróżno szukał w czasie mej młodości, kiedym to lat 20 temu miał pracownię koło Wielkiej Opery — — No i cóż pan odpowiedział?

— Nic — odparł zbrodniarz — domyślił się sam pewnie, zrozumiawszy z kim ma do czynienia; gdyż ja, którego pan uprzejmie nazwać zechciał łaską Ducha Świętego, JA SPRZEDAJĘ ODWROTNE STRONY MEDALI.

— Ha, zatym ten portret — — zaczął Robert tonem porozumiewawczym.

— To poprostu wywrócenie pacyenta podszewką na wierzch — dokończył zbrodniarz. Że użyję przejrzystego symbolu — mówił dalej, wskazując nakrywającą stół serwetę — oto haft jedną nitką wyszywany; nikt o tym jednak nie wie, każda z tych róż ma wrażenie niezależności, każda konwalia istnieje indywidualnie, lecz wywróć choć jeden z tych kwiatów a zauważysz na odwrotnej stronie całą sieć utajonych powiązań i współmierności w otoczeniu — — —

Robert czytał dalej:

16 marca.

Nie otrzymawszy odpowiedzi, zdecydowałem poradzić sobie bez pana. Zasmaruję sam tło obrazu. Pójdzie dobrze. Będę się czuł sam. Nie będę miał za sobą tej sieci. Powrócę spokojny do projektu towarzystwa Progres. Na złość panu zdwoję, stroję rozległość mych komercyalnych planów. Żegnam.

Następny list jednak w zgoła innym był utrzymany tonie:

17 marca.

Oh, Złudzenie! Nie pomogło nic moje niezdarne tuszowanie. Gdy idę ulicą już mnie nie opływa Boski szmer, ale cóż z tego jeżeli nie mogę o nim za-

pomnieć. Co czynić? Wybrałem się dziś do pana, pukałem do jego drzwi, dobijałem się, rzucałem żwirem w szyby, wzywałem — niestety wszystko na próżno; teraz martwieję ze zgrozy na myśl czym nie zbłądził i nie dobijał się do innego domu niż pański. Zapomniałem pańskiego adresu, przesyłam te słowa Poste restante, na szczęśliwy traf. Widzę, że właściwie udało mi się jedynie zmącić tło portretu i zwiększa to tylko mój niepokój. Próbowałem zeskrobać nożem, to com namazał, lecz mozolne me wysiłki okazały się próżne.

18 Marca.

Dziś odbędzie się u nas zapowiedziane zebranie. Ah! gdybym mógł sobie przypomnieć ten przeklęty adres, szukam go wszędzie! „Bottin" w tym wypadku nie wyświadczy mi usługi, gdyż nie znam nawet pańskiego nazwiska. Czemum przeklinał krótkie chwile błogiego zachwytostanu. Jak odnaleść ten adres? — wpatruję się w portret w wyrazistsze niezatarte linie dawnego malowidła, wyłażące jeszcze z pod mojej przebrzydłej mazaniny, i cóż mi pozostaje? Ha! mógłbym naprzykład oddać się jakiejś czynności pierworodnej, mógłbym orać ziemię, grzyby zbierać i dzikie jagody, lub rybę łowić na pełnym Atlantyku. Mógłbym również się zakochać — — — — W kim? — w żonie chociażby! Sprobuję, choć ten sposób jest dość cierniowy, wiadomo bowiem, że jeżeli dziś posiadam krzyż legji honorowej, to jedynie dlatego, żem pchnął mą małżonkę ku krańcowym intymnościom z wiceministrem.

18 Marca wieczorem.

Za chwilę zaczną się zbierać goście. W nich ostatnia ma nadzieja; mieszkanie me zapełni się prawomyślnymi członkami Towarzystw „Labor" „Progres" i innych. Ufam, że przy pomocy tych łebskich kamratów uda mi się zadeptać, to co pan mi nabruździł.
Po śniadaniu wybiegłem na miasto, by pana za wszelką cenę odszukać. Gdym doszedł do tej wyspy Świętego Ludwika, na której pan mieszka, błysnęła mi nagle świetna idea: „Gdybym się ja tutaj przeprowadził?" pomyślałem „przechodniów tu prawie niema, ruch żaden, ulic i domów mało, mieszkając w tym zaciszu znacznie łatwiej mi przyjdzie kiedyś wreszcie się na pana natknąć; od jutra zacznę tu szukać mieszkania". Za mną wznosiła się wieża. „Saperlot" wyrwało mi się „tego też niema w quartier de la bourse!" Wieżę poobsiadały jakieś niezwykłe demoniczne bestye; pomyślałem, że musi to być Notre Dame, którą kiedyś przed potopem wybudowały z pod ziemi wylęgłe duchy i dziwotwory. Zacząłem wstępować po schodach. Z każdym mym krokiem oddalałem się bardziej od siebie, wznosiłem

s i ę p o n a d s i e b i e. Gdym się znalazł na szczycie zdawało mi się, żem słonkiem wzeszedł na niebie. Podemną rozlewał się miejski ocean od parku Montsouris, aż do Buttes Chaumont; zaglądałem w zamknięte murami podworca kamienic jak w studnie. „Od jutra zamieszkam na wyspie!“ powtórzyłem „tu bowiem w każdej chwili mam pod ręką ten punkt w e j ś c i a czy w y j ś c i a“. . . . . I zacząłem czuć, że się p a n zbliża, słyszałem wyraźnie szmer pańskich kroków na schodach wieży; jeszcze chwila a z e s z l i b y ś m y s i ę n a t y m s z c z y c i e. — Nagle zadźwięczał wielki zegar giełdowy: była godzina druga. „Za godzinę zamkną giełdę!“ pomyślałem zdjęty przerażeniem. Pędem zbiegłem na dół; potłukłem sobie kolana o stopnie schodów.

Panie, żegnam, mam tylko czas wymknąć się, by samemu rzucić tę kartkę do skrzynki. W salonie już czeka na mnie kilku czcigodnych panów, w nich ostatnia moja nadzieja — *Bernard*.

— Resztę wiecie panowie z pism — rzekł nieznajomy z prostotą — ostatnia nadzieja zawiodła...

Z tej aglomeracyi słów zrozumiałem jedno: człowiek ten był przyczyną śmierci Bernarda. Wstałem i biorąc go za ramię rzekłem surowo:

— Mój przyjacielu, trzeba być uczciwym. Za kilka dni mogą skazać niewinną kobietę, to coś nam pan powiedział, te listy któreś nam pokazał, z tym wszystkim trzeba pójść do sędziego śledczego.

Robert i nieznajomy parsknęli na to wesołym śmiechem.

— Ha ha ha — chichotał rzeźbiarz — byłby to naprawdę trud daremny.

— Ależ panie — mówił zbrodniarz — ci ludzie przejdą nademną do porządku dziennego.

Gdym się jednak zaczął upierać, nieznajomy zapewnił mnie ze zwykłą mu uprzejmością, że choć nie wątpi o jałowości swego wystąpienia zadość uczyni atoli mej prośbie.

VI.

Kilka dni później znalazłem się znowu na ulicy Rivoli; bruk był już naprawiony i komunikacya wznowiona. Majestatyczna fala uliczna, przelewając się, ścierała ślady niedawnego i krótkiego postoju wędrownych przekupniów i kuglarzy. W bezustannym korowodzie toczyły się samochody, dorożki, omnibusy, wozy więzienne, furgony pocztowe,

wózki ręczne, węglarki, platformy reklamowe... Z turkotem ulicznym zlewały się donośne okrzyki kamlotów: „Enfin ca y est, elle est condamnée!“ wyli przeciągle biegnący pędem żurnalierzy, rozrzucając gorączkowo na wszystkie strony ostatnie wydanie sensacyjnej „La presse“ i chwytając w lot rzucane im sous'y.

— Elle est condamnée! ryknął koło mnie jakiś apasz.

— La garce! podkreślił jakiś stateczny przechodzień.

Kupiłem i ja numer dziennika. W istocie „ona“, to jest elektryzująca tłumy piękna pani Bernard została skazana na 20 lat ciężkich robót. Wyrok izby kryminalnej został umotywowany z zachwycającą logiką. Na ostatniej stronicy dziennika odczytałem poniższą wiadomość drobnym drukiem odbitą:

Obrady procesu mężobójczyni zostały na chwilę przerwane przez nieznaczny incydent. Do prezydenta doszedł jakiś osobnik, oświadczając, że ma do poczynienia ważne deklaracye. Otrzymawszy audyencyę nieznajomy oskarżył się o przyczynienie się do śmierci Bernarda, naplótł przytem różnych nieklejących się niedorzeczności i przedstawił jakieś listy, których autentyczność wydała się podejrzaną. Na razie prezydent przypuszczał, że ma do czynienia z niezrównoważonym. Lecz po bliższem badaniu sądzić raczej należy, że mamy znów przed sobą jednego z tych nieudanych artystów, którzy dla zdobycia głośnego imienia uciekają się do znanego i naiwnego fortelu sztucznej sensacyi. Jak się dowiadujemy w ostatniej chwili niefortunny ten winowajca został wypuszczony na wolność, po otrzymaniu surowej nagany od prezydenta. Zaiste nie mielibyśmy za złe naszym poczciwym ażantom jeżeli zapoznali oni pośladki owego niedowcipnego figlarza z końcami swych żandarmskich butów.

— Jak to jasno i prosto wytłumaczone! — pomyślałem — aż miło czytać! Vivat francuskie sądownictwo! Jakżem mógł choć przez chwilę być na tyle nierozsądny; przecież pracuję u licha w poważnej, prosperującej ajenturze a uległem jak dzieciak idyotycznej suggestyi. Toż całe to zdarzenie jest proste i zrozumiałe. Zdecydowałem, że już nigdy nie wejdę do nieznanego miasta..... Fale ulicznego prądu przelewały się bezustannie — — jednostajnie — — —

. . . .

. . . .

. . . .

....A jednak tłumaczy mi jakiś waryat, że „nieznajomy“ mówił prawdę i że Bernard nie był bynajmniej jego pierwszą i jedyną ofiarą; by się o tem przekonać należy pono tylko *umieć* czytać dzienniki. Nie zawsze jednak następuje tak tragiczne rozwiązanie, jak w wypadku tego biednego przemysłowca; niekiedy kończy się wszystko poprostu na pewnej niedyspozycyi lub jednonocnej bezsenności.

HENRYK KORAB-KUCHARSKI.

Pisane w Paryżu na wyspie Świętego Ludwika.

Z CYKLU: „MANOWCE“.

I.

Kocham sny, bo dzierganą przecudnie oponą
zasłaniają mym oczom bieg teraźniejszości,
bo, jak słupy ogniste, w głębiach nocy płoną,
a nie znają przeszłości żadnej, ni przyszłości.

Rodzą się takie nagłe, niewytłómaczone
i, oniemiwszy ducha przez bogactw swych cuda,
pierzchają, pierwszym świtu promieniem spłoszone,
przed dniem, z którym nadchodzi brzydota i nuda.

One mi niosą wieści, że pięknem jest życie,
że jest świat, co istnieje wkrąg niedopatrzony.
One mi wszystkie wrota otwierają skrycie,
za które nam, tułaczom nędznym, wstęp wzbroniony.

Kocham sny. Kocham wszystkie mary, wszystkie brednie,
co dobre zapomnienia przynoszą mi chwile —
najcudowniejsze pieśni, które duch bezwiednie
snuje, gdy ciało leży w omdlenia bezsile.

Ale najbardziej kocham sen jeden, jedyny,
co nie pozwala dojrzeć nic w swojej otchłani
i bez słów na zegarze przesuwa godziny —
młodszy brat śmierci, wielkiej, miłosiernej pani. —

II.

Mój stary towarzyszu, przychodzisz z daleka
z wieściami o kochance mej — więc usiądź bliżej
i dłoń mi podaj. — Dziwnie się wieczór przewleka,
lecz słońce za sąsiedni dom wnet się już zniży

i odstąpi niebieski sklep całunom zmroku,
więc (że wieczór podobno najsłodszym dla ciebie)
zajmiemy się rozmową, by wzbudzić znów oku
stęsknionemu to wszystko, co przeszłość już grzebie...

A może wspomnień przeszłych nie tykać?... Zapewne...
Bo zresztą, mój kochany, wyznam ci: Ja skrycie
w piersiach taję te chwile radosne i rzewne;
z ich piękna nic mi zabrać nie zdołało życie.

Chciałem to małe księstwo dla siebie jedynie
ukryć. — Ale twych źrenic czujność nie zawodzi.
Przyszedłeś, by wraz ze mną władać w tej krainie —
Nie przecz — to prawo twoje — ja wiem, o co chodzi.

Zapomniałem o tobie w dniach szczęścia bez miary —
wyznaję — człowiek czasem jest tak niedorzeczny —
lecz dziś ty przy mnie znowu, towarzyszu stary,
beznadziejny, głęboki bólu mój serdeczny.

JERZY STIEBER.

SEN.

Rzekł do mnie we śnie rolnik: „Nie będę cię więcej
żywił. Dla chleba rolę sam zoraj pod sianie“ —
Krawiec rzekł mi: „Sam uszyj dla siebie ubranie“ —
a mularz dodał: „Kielnię też w swoje weź ręce“.

I tak, nie mogąc nigdzie ujść tej klątwie srogiej,
gdym błądził, opuszczony przez rodzaj człowieczy,
u niebiosów żebrzący litości i pieczy,
napotkałem gromadę lwów pośród swej drogi.

Otwarłem oczy, wątpiąc, czy to świt w istocie:
na drabinach świstała czeladź przy robocie,
warsztat turkotał, rola była już zasiana.

Więc pojąłem me szczęście i to, że się łudzi
ten, co twierdzi, iż obejść się można bez ludzi —
i pokochałem wszystkich od owego rana — —

SULLY PRUDHOMME.

STANCE.

Nie mówcie: życie jest ucztą wspaniałą,
bo to głupoty, lub płytkości znamię.
Nie mówcie również: jest nieszczęść nawałą,
to znak tchórzostwa, co łatwo się łamie. —

Śmiejcie się, niby gałąź z wiosny tchnieniem,
płaczcie, jak fala, co z wiatrem się ściele —
Poznajcie rozkosz, zło zgłębcie cierpieniem
i mówcie: sen to, lecz przyniósł nam wiele. —

TŁOM. JERZY STIEBER. JAN MOREAS.

JEDEN LI BŁYSK...

Na ścieżkach życia — gdy widzę klejnoty
tylu serc, w grząskiej ginące szarzyźnie
samozabójczej martwoty —

takiego żalu i takiej tęsknoty
pełen jest — chyba — więzień, na obczyźnie
porzucający dla łez snu pieszczoty — — —

O, serce bliźnie,
takiego żalu i takiej tęsknoty
niech się w twą zamrocz jeden li błysk wśliźnie,

jeśliś jak łódź, więznąca na mieliźnie,
choć w żagle wicher dmie na dalne loty.

HENRYK JUSZKIEWICZ.

O RODZAJU GRY JÓZEFA ŚLIWIŃSKIEGO.

Jeden z wybitnych muzyków polskich uczynił mi następujące wyznanie w rozmowie poufnej:
„Pewnego razu przyszła mi do głowy myśl fantastyczna. Wyobraziłem sobie, że cała dotychczasowa twórczość muzyczna ludzkości ma uledz bezpowrotnej zagładzie.
Jakaś nadprzyrodzona siła zniszczenia miała pogrążyć w niepamięć wszystko, co było natchnieniem w świecie tonów i zatrzeć za sobą

wszelkie ślady. Ale z pośród grona genjuszów wolno było wybrać jednego i puściznę jego od nicości ocalić. Jedna jedyna indywidualność muzyczna musiała być z konieczności uznana jako najcenniejsza i wystarczyć za wszystkie.

W kompozycjach jednego człowieka trzeba było odnaleźć maximum wartości artystycznych.

I któżby mógł zostać zwycięzcą takiej elekcji przymusowej?

Zajrzałem w głąb mojej duszy, aby wydobyć zeń postanowienie wobec tragicznej sytuacji. Wszyscy genjusze nieśmiertelni mają zginąć dla jednego? Kto może być godzien takiego wyboru? W myśli mej szala decyzji przechylała się powoli ale stanowczo. Wybrałem tego, któregom w życiu najbardziej ukochał t. j. — Chopina.

Wiem, że z pośród znawców prawdziwych pewna część Polaków i znaczna część cudzoziemców nie zgodzi ze mną, ale tu doprawdy spór nie da się rozstrzygnąć na polu znawstwa jedynie muzycznego. Będzie chodziło raczej o różnice ideałów ogólno-artystycznych. Kto w zakresie wartości estetycznych stawia po nad wszystko poezję i porywy serca, dla takiej duszy natchnienie Chopina okaże się najwyższym i najpotężniejszym na świecie objawem piękna muzycznego. Tam bowiem umiłowanie, jego urok i płynąca zeń tęsknota znalazły swój wyraz tak potężny i oryginalny, do jakiego nie doszedł żaden z genjuszów.

Przeto jakkolwiek umiem podziwiać wielkość Bacha, Mozarta, Beethovena i Wagnera, najboleśniejszą ze wszystkich byłaby dla mnie strata — Chopina.

I wiem, że w danej chwili nie tylko Polak ale przedewszystkiem — człowiek przeświadczenie to wypowiada.

Istnieją od Chopina mocarze tonów bardziej imponujący, bogatsi, wspanialsi i wszechstronniejsi, ale bardziej umiłowanego i upajającego nie znajdziesz. On jest wyobrazicielem najwyższej wartości życia i nie ma takiej ceny muzycznej, któraby go opłaciła".

W tym duchu przemawiał mój towarzysz, a gdy skończył — czytałem w jego oczach blask głębokiego fanatycznego odczucia.

Oświetlanie genjuszu szopenowskiego w sposób wyżej wymieniony łączy się z ideą, którą rozwinął Nietzsche w „Pochodzeniu tragedji".

W Grecji starożytnej należy szukać źródła dwóch głównych i różnych pierwiastków artyzmu. Podług Nietzschego wynikają one z kultu bogów Dyonizosa i Apollina.
Pierwiastek apolliński w sztuce — to przedewszystkiem zamiłowanie do pięknych form, harmonijnej budowy, klasycznego wspaniałego zrównoważenia. Zwolennikiem krańcowym takiej ideowości w muzyce jest niezawodnie Hanslick.
Słynny krytyk wiedeński utrzymuje, że muzyka nie wyraża żadnego uczucia i jest w tem podobną do „arabeski". Linje wznoszą się i spadają, raz zlekka załamują się, to znowu w górę strzelają, giną i napowrót się wynurzają, a zawsze zachowują proporcje i rozliczne tworzą analogje. Na pozór panuje tu bezład, a jednak stosunek cząstek jest jasny, drobnych szczegółów pełno, a jednak całość łatwo okiem obejmujemy. Wyobraźmy sobie arabeskę ową nie w stanie martwoty i spokoju, lecz w chwili jej powstawania. Wyobraźmy sobie jak się te linje nawzajem ścigają, jak rosną i maleją, jak co chwila przynoszą oku nową niespodziankę wśród tego nieustannego falowania — a w końcu przypuśćmy, że żywa ta arabeska jest objawem artystycznego ducha, który wkłada w nią całą swą siłę twórczą. Czyż wówczas nie zbliżymy się już poniekąd do wrażenia, jakie na nas sprawia muzyka? Każdy z nas dzieckiem bawił się niezawodnie kalejdoskopem i zachwycał się grą różnobarwnych szkiełek. Takiem zjawiskiem, wyższem tylko niezmiernie, idealniejszem jest — muzyka. Co jest jednakże pozytywnem, twórczem w utworze muzycznym? Uczucie nieokreślone treścią być nie może, wszystkiem będzie zatem tylko forma, jaką sztuka mu nada *).
Idea Hanslicka, że muzyka nie ma żadnego związku z uczuciem i że daje ona tylko piękną „formę" podobną do „arabeski" lub „kalejdoskopu" — idea ta stanowi charakterystyczne „credo" wśród wyznawców boga Apollina.
Ze świątyni Dyonizosa i obrządków na jego cześć zgoła inne wyłoniły się aspiracje estetyczne. Sztukę poczęto uważać jako środek materjalny

---

*) *Hanslick Dr. Edward.* „O pięknie w muzyce" przekład polski St. Niewiadomskiego 1903, str. 75 i 59.

i zmysłowy do wypowiadania uczuć związanych z najbardziej istotnymi pierwiastkami naszego życia.

Kompozycje artystyczne powinny zatem powstawać na ogólnem tle naszych pragnień i bolów, powinny być natchnione porywami szczęścia i rozpaczy. Należy szukać w nich wyrazu wibracji żywiołowej wszelkiego upojenia.

Namiętność, tęsknota, miłość, czar życia, poezja rozkoszy i cierpienia, stają się przedmiotami zasadniczymi twórczości artystycznej.

Mniejsza o to, że uczucia tą drogą wywołane, mogą być całkowicie nieokreślone jak np. w muzyce.

Pojęciowo nie dadzą się one sprowadzić do żadnych terminów ścisłych, z praktycznego życia zaczerpniętych; tylko stany najbardziej ogólne mogą być tu dokładnie rozróżniane; nie mamy zatem żadnej wątpliwości w oznaczaniu muzyki smutnej lub wesołej. Wszelkie zaś inne uczucia, tworzące nieprzebraną skarbnicę subtelnej charakterystyki, jakkolwiek nie dadzą się opisać, mogą być bardzo wyraźne i wprost potężne w plastyce. Ta właśnie plastyka nieokreślona i nieopisana, będąca rodzajem „objawienia", odsłania nam w muzyce bezpośredni związek między zmysłowem wrażeniem tonów, a głęboko odczutą i przeżytą treścią naszej istoty. O ile właśnie taka łączność doprowadzona jest do potęgi zapomocą odpowiednich, natchnionych środków ekspresji, muzyka może — „wzruszać" dzięki pierwiastkowi, nazwanemu przez Nietzschego „dyonizoskim". Natomiast muzyka przepojona pięknem Apollina może raczej tylko „zachwycać". Weźmy dwa krańcowe przykłady. Genialnie pomyślany, utwór kontrapunktyczny może doprowadzić muzykalną duszę do stanu bardzo intenzywnej rozkoszy estetycznej. Jednak tego rodzaju upojenie nazwiemy... „apollińskiem". Sam utwór zaś może być niezawodnie natchniony i genialny. Sądzimy, że najwłaściwiej jest podobnym kompozycjom przyznać w odpowiednich warunkach przymioty powyższe. Należy tylko zastrzedz, że natchnienie i genjusz posiadają charakter apolliński.

Zupełnie inaczej musimy pojmować natchnienie zaklęte w arcydziełach Chopina. Tam piękno Dyonizosa doprowadzone jest do krańcowych objawów napięcia i bogactwa. Z żaru krwi i z tęsknoty serca powstała poezja przenika aż do najdroższych, do najpoufniejszych zakątków duszy.

Piękno Dyonizosa lub Apollina trudno spotkać wyłącznie w jednym utworze muzycznym. Jeżeli mówić o kompozycjach prawdziwej wartości artystycznej, to zawsze będzie się rozchodziło o przewagę jednego z tych dwóch pierwiastków. Najtrudniej jest spotkać piękno Dyonizosa oderwane od piękna Apollina, gdyż treść poetycka nie da się wypowiedzieć bez zastosowania do formy odpowiednich miar estetycznych.

Jako typ krańcowej wyłączności piękna dyonizoskiego możnaby do pewnego stopnia uważać muzykę cygańską za czasów słynnego Jana Bihary'ego, o którym Liszt wspomina jako o artyście wielkiego natchnienia. Była to wszakże muzyka improwizowana, wyzwalająca się w najwyższym stopniu z zasady tak zwanych form muzycznych.

Do krańcowych objawów piękna apollińskiego, możnaby zaliczyć niektóre utwory polifoniczne, wykwitłe na gruncie szkoły holenderskiej w XVI wieku. Znajdujemy tam kompozycje, gdzie po za formą dla formy absolutnie nic nie ma.

Pomysł powyższego szkicu estetycznego zarysował się mi w wyobraźni na ostatnim koncercie Józefa Śliwińskiego w Warszawie. Wieczór był zorganizowany z powodu dwudziestopięcioletniej działalności artystycznej znakomitego pianisty polskiego. Śliwiński grał Chopina w sposób nieporównany. Obecni pogrążeni byli w najwznioślejszem upojeniu artystycznem.

Wówczas na tle pojęć Nietzschego znalazłem komentarz odpowiedni: natchnienie Śliwińskiego jest *par excellence* dyonizoskie — i dla tego stworzone do wykonywania Chopina.

Nie powinno to zdziwić nikogo, że do umotywowania tej myśli zasadniczej użyłem tak długiego wstępu.

Wszakże godnym zastanowienia jest fakt następujący: nie brak pianistów pierwszorzędnych, imponujących nietylko techniką, ale zarazem muzykalnością, inteligencją, a nawet działalnością kompozytorską, którzy w odtwarzaniu Chopina muszą ustąpić Śliwińskiemu. I jestem przekonany, że pochodzenie słowiańskie wirtuoza nie stanowi tu jeszcze kwestji decydującej. Ważną rolę może ono tylko odegrać w pojmowaniu rytmów tanecznych. Pozatem jednak polskość natchnienia szopenowskiego oparta jest na pierwiastkach wszechludzkich tak wyjątkowej ge-

nialnej potęgi, że bardzo wielu pierwszorzędnych pianistów polskich sprostać mu nie może.

Dlatego też wniknięcie w istotę tego natchnienia staje się przyczynkiem doniosłym do sprawiedliwego sądu o niezmiernie rzadkich i cennych właściwościach, charakteryzujących talent Śliwińskiego.

Przytem jego natura artystyczna posiada o wiele więcej impulsywności, intuicji, aniżeli refleksji i samowiedzy.

Ztąd zmienność usposobienia. Ale w chwilach szczęśliwych nikt mu w zakresie Chopina dorównać nie potrafi.

I takim był tryumf Śliwińskiego na koncercie jubileuszowym.

JÓZEF ROSENZWEIG.

ROZSTRZYGNIĘCIE DRUGIEGO KONKURSU „SZTUKI“ NA WINIETĘ REKLAMOWĄ DLA FIRMY „W. GOLIŃSKA“ W WARSZAWIE.

Z nadesłanych 50 prac, według spisu zamieszczonego w Nrze IX „Sztuki“, sąd konkursowy złożony z pp. Franciszka Siedleckiego, prof. Edwarda Trojanowskiego, red. Henryka Juszkiewicza, wraz z zaproszonym do jury właścicielem firmy „W. Golińska“, po odrzuceniu projektów, które nie odpowiadały warunkom konkursu, lub nie stały na wysokości wymagań artystycznych, przystąpił do bliższego rozpatrzenia prac oznaczonych godłami:

„CHEVALIER d' ORSAY", „DO ZMNIEJSZENIA", „KAMEA", „KOŁO", „KRYNOLINA", „MARS", „PIÓRA", „RÓŻE".

Z pomiędzy tych pierwszą nagrodę — w sumie 75 rubli — przyznano pracy odznaczonej godłem „MARS". Projekt ten najlepiej odpowiadał warunkom reklamy, nadaje się do wszelkich zmniejszeń na różnorodnych gatunkach papieru, a pod względem graficznym wyróżnia się spokojem, jednością kompozycji dekoracyjnej, równowagą w rozmieszczeniu winiety i napisu, w którym rzuca się w oczy nazwisko firmy, nie zagłuszając przytem reszty tekstu.

Poza tem sąd konkursowy odznaczył trzy prace:

Projekt z godłem „DO ZMNIEJSZENIA" — wyróżnia się wytwornem i oryginalnem skomponowaniem rysunku i utrzymanego w odpowiednim charakterze napisu.

Projekt z godłem „KOŁO" — ma wybitne zalety artystyczne i graficzne — przez mocne traktowanie i dobry rysunek.

Projekt z godłem „CHEVALIER d' ORSAY" — odznacza się lekkością i smakiem w traktowaniu rysunku.

Wszystkie trzy odznaczone prace właściciel firmy „W. Golińska" nabył na własność, ofiarowując po 30 rubli za każdy projekt.

Po otworzeniu kopert autorami wyróżnionych projektów okazali się:

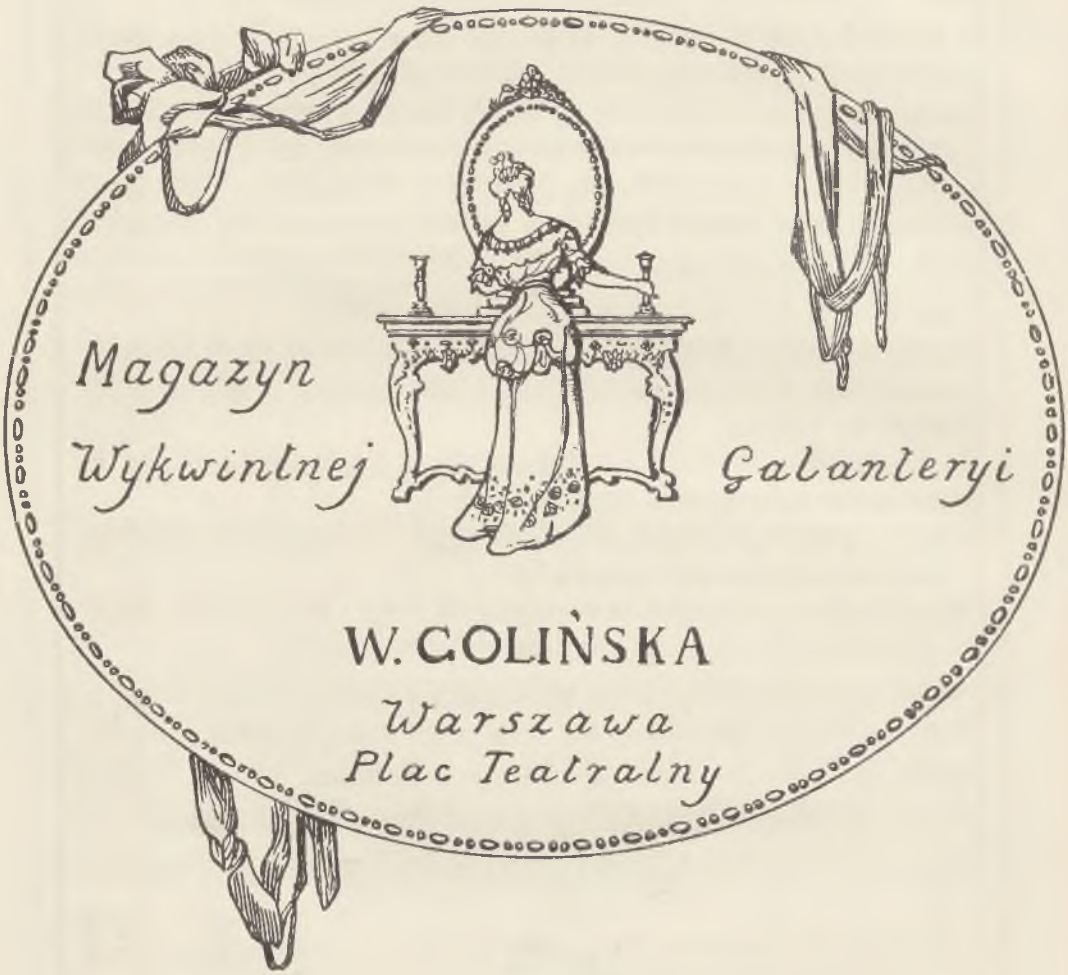
Godło „MARS": pp. Aleksander Wasercug i Jan J. Rotwand z Paryża.

Godło „KOŁO": p. Eugenjusz Dąbrowa z Krakowa.

Godło „DO ZMNIEJSZENIA": p. Antoni Słonimski z Warszawy.

Godło „CHEVALIER d' ORSAY": p. Henryk Nowodworski z Warszawy.

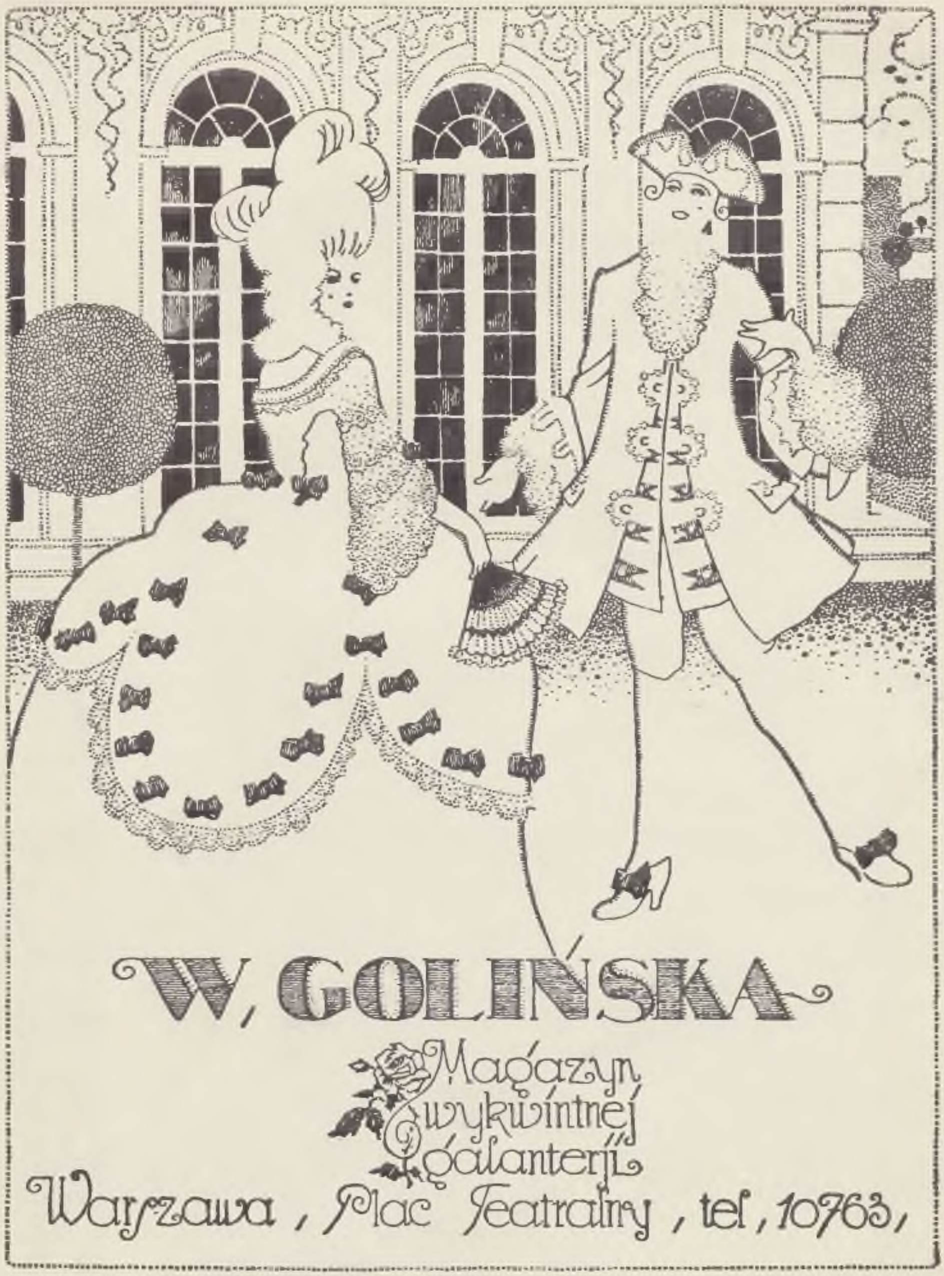




PROJEKT NAGRODZONY. GODŁO „MARS“. ALEKSANDER WASERCUG I JAN J. ROTWAND.



PROJEKT ODZNACZONY. GODŁO „KOŁO“. EUGENJUSZ DĄBROWA.



PROJEKT ODZNACZ. GODŁO „CHEVALIER d' ORSAY". HENRYK NOWODWORSKI.



PROJEKT ODZNACZONY. GODŁO „DO ZMNIEJSZENIA“. ANTONI SŁONIMSKI.

KRONIKA.

TEATR.

TEATRY RZĄDOWE WARSZAWSKIE: „Wielki“ i „Rozmaitości“, do dziś dnia żyją tradycją wielkiej Sztuki scenicznej. Po kątach, gdzieś około filarów po pod lożami cienie Żółkowskich, Królikowskich, Modrzejewskiej i innych, nieraz smutne, jak epigoni schodzą z piedestału wielkiej Sztuki do łatwej codziennej, to znów błogosławiące wysiłek, wzlot ku wyżynom wielkiej poezji, której przecież są stróżami, której ogniska strzec im powierzono.

Mówią, że zdolny, energiczny i ożywiony jak najlepszemi chęciami prezes teatrów warszawskich p. Małyszew, zamierza w roku przyszłym poddać rewizji inscenizację tak zwanego repertuaru klasycznego, że szablony dramatów Słowackiego, Szekspira, Szyllera etc. zmienione będą na inscenizacje twórcze, zgodnie z najnowszemi prądami sztuki scenicznej w Europie — że mają być do tego powołani najwybitniejsi artyści-malarze polscy, że wogóle nieustraszony prezes zamierza otworzyć okno na rozcież i wpuścić w stęchłą atmosferę świeżego, czystego powietrza. Jesteśmy jedni z pierwszych, którzy z głębi serca pragną, ażeby te pogłoski jaknajprędzej się sprawdziły, tembardziej, że zadatki były już w tym sezonie — że wystawiono z niezwykłą sumiennością „Orlątko“, a już zupełnie nowe prądy okazały się w przepięknej „Szecherazadzie“.

* * *

Szecherazada — balet z muzyką Rymskiego-Korsakowa, wystawiony był przepięknie. Gdyby jeszcze dekoracje (choć według szkicu Baksta lub z reprodukcji tegoż) stały na wysokości kostjumów i reżyserji, nie miałbym absolutnie nic do zarzucenia. Jednak i o dekoracjach zapomina się wkrótce, bo sharmonizowanie kolorystyczne kostjumów, ich fantastyczność wzorowana na perskich miniaturach i oryginalność przykuwają do siebie. Muzyka Rymskiego-Korsakowa, to jakaś bezbrzeżna tęsknota zmysłowa, która szukając ukojenia w szalonej orgji zmysłowej, w śmierci się wyzwala. — Twórca kostjumów Bakst kolorami grup stara się pomódz muzykowi w uzyskaniu wrażeń zmysłowych. — Kostjumy te wykonano bez zarzutu, dołożono rzeczywiście wszelkich starań, ażeby dobrze wypadły, nie pomylono się w doborze kolorów, nie użyto banalnych i pospolitych materji, jakiemi dotychczas posługiwano się w balecie.

* * *

Zauważyłem, że my wogóle nie doceniamy wartości naszych warszawskich tancerzy i tancerek, że sztukę choreograficzną uważamy za pośledniejszą, za godną lekceważenia.

A jednak tak być nie powinno. Taniec bowiem w nowożytnem znaczeniu, od czasów Isadory Duncan, Dalcroze'a, Niżyńskiego, Pawłówny etc. odzyskał swoje pierwotne artystyczne znaczenie, stał się znów pośrednikiem między światem zewnętrznym, a duszą człowieka, stał się sztuką na równi z innemi. Nasza polska tancerka w ruchach swych różni się od tancerzy innych narodów, inną jest niż tancerka rosyjska, którą ponosi żywiołowość, lżejsza od surowej niemki. Tancerka nasza chyli się w swych ruchach jak brzoza wiatrem gięta, żywiołowość jej jest potencjonalna, nie wybucha, lecz jest opanowana przez wewnętrzną wytworność, uśmiech staje się u niej prawdziwym znakiem na okazanie lekceważenia wysiłku tanecznego — a całość koncepcji zdradza poczucie jednolitości rytmu świata z rytmem ciała. Patrzącemu rozwiewa zwolna pożądania a wprowadza go w djonizyjski nastrój rozkoszy estetycznej.

ARF.

SZTUKI PLASTYCZNE.

WYSTAWY WARSZAWSKIE.

Można by sądzić, że życie artystyczne w Warszawie wre, kipi. Tyle wystaw! Ale na tych wystawach widzów mało — a i wystawy nie dają tyle, żeby można o nich wołać z entuzjazmem: oto dzieła mistrzów, duszy polskiej rozwierających tajemnice! albo też: oto wskaziciele nowych dróg.

A więc była wystawa subtelnych, nieraz bardzo tęgich w barwie akwafort i świeżych pejzażów Jana Rubczaka. Był cykl bardzo słonecznysh, tonących w błękicie, czasem przeniebieszczonych, ale zawsze silnych w ujęciu pejzażów Pankiewicza. Były bardzo kulturalne prace Czaykowskiej, zawierające wiele sentymentu. Były silne portrety Rembowskiego i jego ciekawa fantazja o królewnie, o czem w danej chwili szerzej pisać niepodobna, bo to są utwory, wymagające znacznie szerszego omówienia, wykazania wszelkich „za“ i „przeciw“, jakie się nasuwają. To samo powiedzieć trzeba o obrazach p. Bryknera, w których szerokość traktowania fantastycznie i w dążeniu do stylowości pomyślanych postaci nasuwa refleksje, nie dające się streścić w kilku zdaniach.

Była wystawa jednobarwna — bardzo obfita i pouczająca, na której zgromadzono mało znane szkice Matejki, (przepyszne, królewsko malowane głowy), Grottgera, Juljusza Kossaka, Antoniego Kamieńskiego (między innemi rzadkiej piękności portret Podkowińskiego), Kochanowskiego, Zarzyckiego (dobre portrety i małe obrazki, dosadne w rysunku), Protaszewicza (arcyświetna karykatura zbiorowa, pełna fantazji), Podkowińskiego, Norblina, Aleksandra i Maxa Gierymskich, Chełmońskiego, Gawińskiego, Piątkowskiego, pani Berentowej (nowy talent i niezwykle delikatne silnie odczute pejzaże, rysowane

piórkiem z rzadką precyzją), Franciszka Siedleckiego i wielu, wielu innych. Zaznaczam: wielkie nazwiska mówią same za siebie, stąd nie podnoszę uroku dzieł Kossaka, Chełmońskiego i t. d. Z mniej znanych podkreśliłem tylko to, co musiałem.

* * *

Wystawa „Młodej Sztuki" stoi na wyjątkowem stanowisku zgromadziła bowiem przeważnie poszukiwaczy nowych dróg. I dlatego o niej w Warszawie głucho. „Inaczej" to malowane — więc też dzienniki wybałuszyły oczy na tych ludzi, jak na dziwowisko. Do katalogu „Młodych" bardzo piękny wstęp napisał p. Stanisław Pieńkowski.

Romuald Witkowski wystawił cztery nowe obrazy, które w dalszym ciągu, jak dawniej drażnią Warszawę tem, że są tak niezmiernie barwne. Jakże to można malować kobiety i dzieci i pejzaże, lub akcesorja martwej natury zupełnie, ale to zupełnie po swojemu! Że tworzą się z tego niezmiernie silne, jędrnym rysunkiem związane, kompozycje, że na jednym z obrazów widzimy wprost piekło gorącego południa, drgającego namiętnością życia na innym znów nadzwyczajny wyraz oczu u dziecka, bawiącego się jarzynami, jakby klejnotami, to cóż to wzruszać może przeciętnego informatora sztuki, lub przeciętnego widza, „expositionsreisendera", co to zawsze i wszędzie musi powiedzieć coś mądrego i szukać w dziele sztuki „myśli filozoficznej", miast widzieć utwór malarza?

Tadeusz Pruszkowski daje wielkie kompozycje — za wielkie, jak na utwory fantazji, ale i śmiałe, nie liczące się z realizmem — i niektóre wspaniale barwne, jak n. p. „Teatr", niektóre dyszące powietrzem legend — jak „Bolesław Śmiały" — szkoda tylko, że w tym królu polskim dają się odczuwać jakieś ślady secesyjności. Pruszkowski dał też prześliczną minjaturę.

Młodzianowski Czesław dał znakomite „Martwe natury" — bo wcale nie martwe i subtelne w harmoniach barw — oraz pejzaże, ciekawe ze względu na próbę ujęcia drgań padającego deszczu i wibracji powietrza.

Świdwiński Aleksander: groteskowa rozpasana w swej nagości „Olimpia" i pełna życia ulica podczas deszczu.

Zarula Jerzy wystawił silną w rysunku „Niedokończoną kompozycję". Jest to para kawiarniana, silnie charakterystyczna w ruchach, szeroko, prawie plakatowo malowana.

Wnętrza Szymanowskiego Marjana — bardzo dobre, nie ustępują może Ślewińskiemu.

Oprócz tego wystawili: Billauer Zofja, Bukarewicz Jadwiga, Brzeziński Kazimierz, Czerny Wacław, Centnerszwerowa-Rejcher, Dunin-Borkowska Janina, Mierczyńska Maryla, Łuczyńska-Szymanowska Irena, Miller Alfred, Wertensztein Marja — dzieła nie zawierające tyle nowego t. j. czysto indywidualnego, co poprzednio wyliczeni artyści, ale w każdym razie bardzo dobrze malowane pejzaże i portrety, lub drzeworyty i akwaforty.

J. KL.

LITERATURA.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO.

MARYA JEHANNE WALEWSKA (HR. WIELOPOLSKA). „FAUNESSY“ — POWIEŚĆ DZISIEJSZA. (Kraków. Księgarnia Literacka 1913).

Świat p. M. J. Walewskiej to najwyższe sfery towarzyskie — świat konający z nudów i nienasyconego uczucia próżniactwa. Ci ludzie, których jedyną religią jest chroniczne odpoczywanie, nie dorośli do roli tak trudnej, jak kontemplacya, więc się nudzą. Ich nuda ma natrętny charakter lubieżności. Po za dystyngowanemi maskami nieusypiający nigdy czerw toczy ich serca, więc każdy człowiek tej sfery — jak widać z utworu p. M. J. Walewskiej — nosi w duszy miejsce rozjątrzone, ranką nigdy się nie zabliźniającą i cały spryt ich inteligencyi, popieranej przez próżność, zmierza ku temu, by wytworzyć o sobie odpowiednią legendę. Naprzykład pani de la Serre „w bajkowych kadzielnicach Windsheima trzymała papierosy — szampan mrożono u niej w staro-chrześcijańskich baptisterjach — paznokcie polerowała o wyświechtane aksamity czapraków średniowiecznych — staroświeckie czepce służyły jako umbry do lamp — feretrony zasłaniały piece — na zmodernizowanym bizantyjskim ołtarzu miała gotowalnię“... A to wszystko rozumie się dlatego, że pani de la Serre, szalenie znudzona wiekuistą bezczynnością, chciała uchodzić we własnych oczach i w oczach swoich gości za zuchwałą grzesznicę, o którą we właściwym czasie upomną się szatani. Równie niewinną i zapewne nie tak znów piękną, jak chce przedstawić p. M. J. Walewska jest inna zachcianka tejże pani de la Serre — „jedyny surrogat duszy helleńskiej, zbratanej z duszą Europy nowoczesnej“ — taniec pani de la Serre, wywijającej nago przy dźwiękach muzyki Debussy'ego „Et la lune descend sur le temple“. Naogół, kiedy chodzi o tych ludzi, autorka ostrzega uroczyście, że należy skupić najwyższą uwagę, bo oto za chwilę z poza jedwabi i koronek wysunie się serce ludzkie, tak samo zranione, jakby nie biło za jedwabiami i w pałacu, poczem ukazuje dyskretnie szczątek jakiegoś dramaciku. Lecz rzecz główna w każdej tu przedstawionej osobie jest nieustanne, cierpliwe poszukiwanie pozy, która najlepiej będzie umiała łagodzić nudę. Pan Ove Falsen zajmuje się przeważnie kwestjami religijnemi, choć sam ironicznie się odnosi do wszelkich wiar. W obronie przed nudą rozwinął w sobie silnie zmysł kontradykcyjny. Jeśli ktoś broni ostrzej pewnej tezy, pan Ove Falsen występuje bezwłocznie z repliką. Pan d' Espagnac jest filozofem i znawcą duszy kobiecej. „Jeślim — powiada — opuścił Galicyę, gdzie miałem zamiar dłuższy czas zabawić dla studyów nad polską porcelaną, to nie dla tego, że pan X. zegarek nosi... w irchowej torebce, ale dlatego, żem spotkał tam kobietę cudną, rasową i mądrą, która oświadczyła raz *en plein salon*, że potrzebuje kwadransa rano, aby się ubrać i kwadransa wieczór, aby się rozebrać. Kraj, w którym kobiety cudne, rasowe i mądre, nie spotrzebowują minimum trzech go-

dzin dziennie na toaletę, nie może być miejscem zamieszkania dla Europejczyka". Ludzie p. M. J. Walewskiej w swych nerwowo-rasowych dyalogach rozważają wiele kwestyi podobnej co powyższa doniosłości, np. czy rzecz odpowiedniejsza dla kobiety rasowej kąpać się w morzu w majtkach i klejnotach, czy bez majtek i bez klejnotów. Głupstewka tu stają się uroczyste i wirują z namaszczeniem w bufjastych krenolinach. Naogół — jest to nieustanna maskarada i ludzie służą ceremoniałowi towarzyskiemu i próżności tak żarliwie, jak gdzieindziej molochowi pracy.

Wszystkie opowiadania p. M. J. Walewskiej mają tętno lekko podnieconej rasowej nerwowości, lecz autorka stoi zbyt blizko swych bohaterów i bohaterek. Brakuje tu dystansu. Są to rzeczy, opowiadane z tak świeżą naiwnością, jakby inne sfery społeczne nie istniały i nie służyły za rodzaj sprawdzianu, co znaczy to lub owo cacko namaszczone. Jest to książka egzotyczna — doskonałe źródło usposobień i nastrojów filozoficznych w wyższych sferach społecznych. Co do zalet literackich, jest to książka wyborna w rytmie, lekka, wytworna, nigdzie nie nudna, ani pedantyczna, pisana ze znakomitą zdolnością narracyjną.

WIESŁAW LUBICZ.

W zeszycie niniejszym drukujemy nowelę pióra młodego autora w Paryżu stale mieszkającego, p. Henryka Korab-Kucharskiego. Przed miesiącem w Teatrze Krakowskim byliśmy na premierze „Lawiny" która obok głębokiego zainteresowania w poważnych sferach literackich wywołała tyle naiwnych niekiedy nieporozumień... Ufamy, że „Sprzedający odwrotne strony medali" acz w zgoła odmiennym utrzymany tonie przyczyni się do oświetlenia ideologji autora.

Witamy talent szczery, poważny, rokujący świetne nadzieje.

J.



REDAKTOR I WYDAWCA HENRYK JUSZKIEWICZ

Odbito czcionkami Drukarni „SZTUKA" w Krakowie, Sobieskiego 16.